

pod zieloną kuleczką można oglądać stosunkowo najwięcej, tak wysoko dzisiaj cenionych, programów „na żywo”. Jednak, żeby Puls bił bardziej równo, potrzeba mu więcej dyscypliny i sprawności organizacyjnej. Za często to, co widzimy, rozmija się z opublikowanym wcześniej programem. A to sprawia, że pod wieloma względami prawdziwie oryginalna i fachowo robiona telewizja ociera się o amatorszczyznę.

Jan Kłossowicz



**TRWANIE, ZACHWYT,  
WZRASTANIE**

Eugeniusz Kasjanowicz

*Listy do  
Emily Dickinson*

Wydawnictwo Lubelskie  
Lublin 2003, ss. 58;

Wojciech Kass

*Przeptyw cieni*

Wydawnictwo Iskry  
Warszawa 2003, ss. 53.

Eugeniusz Kasjanowicz jest poetą szczególnie hojnym. Tak jak każdy poeta potrzebuje mistrzów i muz, mam jednak wrażenie, że obdarowuje dedykacjami – zwłaszcza kobiety – częściej niż inni. I ja zostałam w zbiorze „Listy do Emily Dickinson” wyróżniona dwiema dedykacjami. Od 1993 r., kiedy to jako przewodnicząca jury konkursu dla młodych poetów z okazji Warszawskich Dni Literatury dawa-

łam mu jedną z głównych nagród, minęło 10 lat i Eugeniusz Kasjanowicz uzbiierał od tamtej pory nowe laury, m.in. nagrodę Kraszewskiego i Staffa. Przedtem był już laureatem konkursu im. Jana Śpiewaka i Kazimierzy Iłakowiczówny. W ostatnich latach opublikował też kilka nowych zbiorów wierszy, w tym jeden w wersji dwujęzycznej – polsko-angielskiej – „It’s me”, wydany w 1997 r. w Londynie.

Podobnie jak jego główny mistrz, Miłosz, którego fragment listu do siebie poeta cytuje na początku książki, jest Kasjanowicz wyznawcą idei „małej ojczyzny”, której od lat poświęca wiele strof. „Aleksandria” – najbardziej znacząca z wczesnych książek poety (wydana dwukrotnie – w 1993 i 1995 r.) – była w znacznej części hymnem na cześć rodzinnych Siedlec. Pisałam o niej w recenzji pt. „Bard rodzinnego miasta” („PP” nr 5/1995). Kolejny motyw tej liryki to przyjaźń, miłość, współobcowanie bliskich sobie istot. W nowym zbiorze Kasjanowicz powtarza niektóre wcześniejsze utwory, m.in. wiersz bez tytułu dedykowany *Marii*, w którym *odnajdujemy*, jak pisałam wcześniej, *liryczną zgrzebność znaną poetom autentystom i wszelkim ludowym nurtom poetyckim*.

W tej książce dominuje wszak inna postać wyeksponowana w tytule. Emily Dickinson to w jednej oso-

bie inspirująca muza i mistrzyni poety, symboliczny ideał prostoty, uczuciowości i ukochania najbliższego świata. „Listy do Emily Dickinson” powielają z jednej strony wzór empatii i lirycznego wzruszenia wszelkim istnieniem stworzony przez amerykańską poetkę, z drugiej – stanowią odniesienie dla bezpośrednich pragnień i tęsknot siedleckiego poety. Już w pierwszym wierszu cyklu listów zawiera się ich pełen program emocjonalny:

*Moje spragnione wiersze  
wiatr czarny  
szarga po świecie  
a one chcą być  
dla ciebie świeższchem  
i siąść przy twoim boku*

Identyfikacja z losem i twórczością wielkiej amerykańskiej samotnicy powraca w każdym utworze z tego cyklu. Czytamy więc: *szukam nocami / zamkniętej w płatkach czasu / twojej samotnej / powiewnej dłoni; ocalą nas jedynie / skrzydła miłości / które skłębimy / droga Emily / po kolejnej kłęsce; / jesteś bardzo bliska życia / poznaję po twojej przyjaźni / z pszczołą / motylem / twoja rozmowa z potokiem / odkryła serce / niejednego kamyka; w twoich oczach / jeszcze widzę złożoność / świata / a drogi którymi szłaś / potrafią za tobą / zapłakać*. Kasjanowicz odnajduje Emily w greckiej nimfie – Ice, a także – przez jej uczucia – wyraża sekrety własnego serca.

Podobnie jak w poprzednich zbiorach poety, i tutaj pojawiają się wiersze podróżne, a zwłaszcza motywy z ukochanej Grecji. Zachwyt nad pięknem śródziemnomorskiego pejzażu, architektury, zapatrzenie w antyczną historię i kulturę, w połączeniu z całkiem prozaicznymi rozkoszami plażowania i przesiadywania w kafeteriach, budzi taką np. refleksję:

*Wierzę  
że w tym miejscu  
można zostać  
kimiś wyjątkowym  
(...)  
i czuję  
że czasu tutaj  
nie ma*

Czasu nie ma, jest wieczność wyzierająca z każdej szpary w murze i z każdego spojrzenia. Eugeniusz Kasjanowicz ma głębokie poczucie niezwykłości tego miejsca, jego wpływu na naszą świadomość historii i kultury, gdy w wierszu „Velika” mówi: *Na czyich śladach rosną moje stopy / kto patrzył przed wiekami / z tej skały na horyzont (...) Jak można tu wątpić / w harmonię i piękno / w równowagę wszechświata.*

Najczulszą wszakże adoracją obdarza poeta w tym zbiorze kobiety. Nie tylko Emily Dickinson stanowi obiekt jego westchnień. Wróćmy więc jeszcze na chwilę do jego muz. Najczęściej powraca imię Marii, raz zjawia

się z nazwiskiem – Maria Prądyńska (żona poety) – i to jej właśnie poświęcony został najsubtelniejszy liryk miłosny porównujący czar kobiety do księżniczki wierzby. Oprócz wierszy dla Marii i Maryli są w tym zbiorze wiersze dedykowane m.in. malarce Marii Anto, jest „Piosenka dla Julii”, wiersz dla tajemniczej „Przyjaciółki”, wiersz dedykowany Reginie Smendziance i „List do George Sand”. Nie liczba dedykacji decyduje tu wszak o wartości tej poezji: w liryce Eugeniusza Kasjanowicza istotne jest to, że jego emocjonalność jest tak otwarta, jego czułość dla istot płci żeńskiej tak szczerą, a jego empatia na kobiece uroki i talenty tak jawna. W jednym z wierszy powiada wręcz: *W tobie powstaje / wiersz dla ciebie.* Pisze też bez pesymizmu o rozstaniach: *rozstania są po to / żeby się spotykać / jak dwa obłoki popłynąć znów razem.* Pisze o sprawach zwyczajnych, powszednich, spod jego pióra wyszła nawet żartobliwa oda do szklanki, a w przejmującym wierszu „On i Ona” zwraca się ku najtragiczniejszym postaciom naszego czasu: *On i Ona / kochankowie bram ulicznych / ze strzykawkami w kieszeniach / swoją fatamorganą.*

Poetyckie credo tego zbioru znajduje się, jak sądzę, w wierszu ostatnim. Jest w nim ta odrobina sentymentalizmu, który opromienia wiersze Kasjanowicza staroświeckim bla-

skiem, jest konfesyjna prostota i ten ton najczystszy liryzmu: bezpośrednie i bezpretensjonalne wzruszenie:

*Jestem cząstką świata  
we mnie mieszka kropla czasu  
a wokół tyle wirujących zdarzeń  
że kruche słowo kocham  
wypowiedziane po raz pierwszy  
nie może powrócić  
do swego gniazda  
węduje samotnie  
szuka człowieka  
aż nagle objawia się  
spadającą gwiazdą  
której piękno obserwuję  
z zachwytem i żalem*

Trwanie i zachwyt, a może trwanie w zachwycie, to dla tytułowej muzy poety, jak i dla niego samego uzasadnienie istnienia, które jest zarówno przewyciężaniem jednostkowego cierpienia, jak i spełnieniem się tu i teraz w czynieniu ewangelicznego dobra.

Poezja Wojciecha Kassa rodzi się, z tego samego ducha symbiozy z egzystencją we wszelkich jej naturalnych przejawach. Wydaje się wszakże, że świat Kassa jest mniej jednoznaczny niż ten Kasjanowicza, więcej w nim wychylenia w metafizykę, więcej prób mieszania namacalnie realnego z tym, co niewidzialne, duchowe, ukryte – wg Junga – za „cieniami” rzeczy. Wizja tego dwoistego świata jest tu zdecydowanie bardziej mroczna, poddana

mitologizującej sile symboli orfickich i apokaliptycznych. „Przepływ cieni” to także czwarty zbiór wierszy tego poety. Podobnie jak Kasjanowicz, jest on laureatem paru nagród, także nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny, o czym pisałam już w „PP” (nr 2/2003). W ubiegłym roku ukazał się polsko-niemiecki wybór dziesięciu wierszy poety.

Pisałam o tej poezji także w „Arkuszu” (nr 4/2003): *Wojciech Kassa każdym nieomal wierszem daje świadectwo własnej, franciszkańskiej pokorze wobec cudów stworzenia. Akceptacja, więcej – adoracja świata w jego złożoności i naturalnym pięknie, to zasadnicza postawa wartościująca tego poety. To, co się dzieje tu, na ziemi, jest dla niego, podobnie jak dla innych poetów czerpiących ze wzorców natury wzorce własnego losu, nie tylko przedsmakiem wiecznej szczęśliwości, ale jej pełnym wymiarem.* W nowym zbiorze ów zachwyt dla świata i jego stworzeń uległ pewnej metamorfozie. Poeta jest coraz dojrzalszy, coraz bardziej świadom zagrożeń i pułapek egzystencjalnych, wynikających z ludzkiej przemijalności i ułomności naszych narzędzi poznawczych. W tych wierszach nadal obecna jest natura z jej przyrodzoną i nadprzyrodzoną energią, coraz częściej jednak refleksja Kassa kieruje się ku doświadczeniu relatywności, para-

doksalności naszej życiowej przygody, a także roli poety:

*Wznosiłem na krzyku  
i zebrałem gruz  
Wznosiłem na drwinie  
i zobaczyłem pustkę  
Wznosiłem na jednym  
i tym samym głosie  
poczułem nudę  
teraz polegam na szepcie  
i patrzę jak unoszą się  
stropy mojego domu.*

(„Wyżej podnieście strop, cieśle”)

Pewność poety co do orfickiej trwałości i nieomyślności słowa, co do jego demonicznej mocy podlega teraz wahaniom. Mówi on, co prawda, w wierszu „Całowanie gwiazdy”: *Poeta podpira językiem świat, / jego znikomą / i w gruncie rzeczy słabowitą konstrukcję*, jednak już w ostatniej zwrotce tego wiersza ma poznawcze wątpliwości: *Poeta chłepcze językiem / krew z gwiazd, / o ile to krew, a nie lód.*

Kass doskonale zna cenę, jaką płacimy za nieustające budowanie w ontologicznej niepewności, w kosmicznej pustce, wie, że *zanim zbudowano / tę górę z kamienia, / musiała zgnić góra mięsa*. W wierszu „W ukryciu” analizuje sens dwóch pojęć egzystencjalnych – *trwać, wznosić* – konstatując: *Pierwsze w wierszach / które były // Drugie w tych które chcą być*. „Wzrastanie” to więc

aktualne powołanie i ambicja, nie tylko artystyczna, poety, który – podobnie jak Kasjanowicz kobiety-przewodniczki duchowe – darzy kultem poetów-przyjaciół, którym poświęca wiele wierszy. Są to m.in. Konstanty I. Gałczyński, Julia Hartwig, Krzysztof Karasek, Krzysztof Kuczkowski, Jacek Napiórkowski. Jest w „Przepliwie cieni” także wiersz przywołujący poetów z Wilna i Lwowa, i wyrażający głęboką solidarność z naszą kresową przeszłością i teraźniejszością „Wspólnota” poetów żywych i umarłych, o której wie tylko „szaman”, to zresztą coś więcej niż solidarność, twierdzi Wojciech Kass, to wymóg i warunek duchowej wolności, czerpanej z aktualnych i minionych głosów. W symbolicznej odzie do poety, będącego uosobieniem ducha wiecznej poezji, czytamy: *Dodajesz mi sił starcze, / rybo, mająca skrzydła zamiast łusek, / kto z żeglarzy dostrzegł je po raz pierwszy, / i w sieci przywłókł na brzegi Tracji. // Tam, gdzie utonęła głowa Orfeusza, / ty pociąłeś sieć* („Na drozda Karaska”).

Apokaliptyczne nuty przenikające „Przepliw cieni” nie świadczą, bynajmniej, o słabości poety, ale o sile jego „niezgody” na trwanie w bierności, w beznadziei, w bezmyślności:

*Bez pamięci  
Ramion palców ust  
Dźwięków i akordów*

*Wydrążoną*

*Szaroburą kością*

*Będziemy*

(„Krajobraz z kością niezgody”)

Nie duch rezygnacji przyświeca tu poecie, lecz przeświadczenie o ciągłości, istotności naszego przeznaczenia i naszego bytowania tu i teraz, gdyż także nasze kości wpiszą się w *zagnione kręgi / Jakiej wieży? / Przemieszane żebra / Jakiej studni? // Żebra, kręgi i przęsla / Jakiego mostu?*

W. Kass ma poczucie więzi z minionymi epokami kultury, sztuki, duchowości, ale też ze sferą wieczności, ku której zmierzamy. W wielu wierszach znajdują się odniesienia zarówno do „tu” jak i „Tam” jednocześnie, do rzeczywistości grobów i naszej o nich pamięci, do rzeczywistości zaświatów – naszego mieszkania po śmierci. Tytułowy wiersz „Przepliw cieni” to metaforyczny zapis przemijania, przechodzenia ze świata zmysłów, doczesnych rozkoszy i niemocy w świat niepoznawalny, lecz nieobcy naszej intuicji, skoro tutejsze *cienie* [to] *wysłannicy Cieni przodków*. Ten niezwykle sugestywny obraz przenikania się światów zaczyna się tak: *Cienie rozkładają koce pod moje od suszy świata splekane stopy / błogostawione cienie jak jesienne przyplwy, które zaniosą nas na listopadowe groby.*

„Apokalipsa według świętego Wojciecha” – jeden z ostatnich wier-

szy zbioru – to właśnie wyraz nagłej świadomości przemijania i jednocześnie uczestnictwa w wielkim misterium życia od pokoleń, misterium, które wciąga nas wszystkich w swój tajemny taniec. Tajemnica trwania i przechodzenia w wymiar wieczności zyskuje teraz w wizji poety nie tyle akceptację realnego i mistycznego piękna świata, ile zgodę na jego ulotność, nietrwałość. Proces „wzrastania” dokonuje się w wyobraźni Kassa właśnie przez ból istnienia tożsamy z bólem miłości. Ból miłości to bowiem ten stan ciała i ducha, w którym dokonuje się przemiana gry doczesnej w grę nieskończoną, niedostrzegalną z ziemskich horyzontów, acz wypowiedalną w epifaniach wierszy, jak w tym kończącym tom lirycznym zawołaniu pt. „Góra”:

*Za oknami noc  
jak zwęglone runo,  
jak grzbiet książki,  
która ma czarne stronice.*

*Doczekać świtu,  
choćby był górą  
wypalonych liter.*

*Doczekać świtu* to wielka metafora nie tylko wyczekiwania – *jednej z ziemskich ulotności*, ale też przekraczania, transcendencji. Wyraz przekonania o mocy tych trzech cnót: wiary, nadziei, miłości, które wieszczą nam tutaj nowy, nadprzyrodzony świat.

W którym *byłe istnienie* przetworzy się w *eksplozję, wspólny krąg światła* – pewnie innego niż to ziemskie, a może na obraz i podobieństwo naszych tutejszych tęsknot i dokonań? „Może po śmierci będzie tak” dedukuje poeta w tytule i treści jednego z wierszy. Już sam potencjał poznawczy imponuje i wzrusza.

Adriana Szymańska

### SPRAWA MIĘDZY „CZŁOWIEKIEM” A BOGIEM

Mirosław Sośnicki

## Wzgórze Pana Boga

Wydawnictwo MTM  
Jugowice 2004, ss. 304.

Autor tej książki za młodu próbował swych sił w literaturze; mniej więcej 20 lat temu złożył wizytę w „Odrze”, w której ukazał się jego tekst („Manifest optymistyczny”), jak się dziś dowiadujemy, jedyne jego opowiadanie opublikowane w latach 80. A przecież Sośnicki, mimo że był związany ze środowiskiem uważanym w tamtych latach za prowincjonalne (konkretnie świdnickim), zaczął odnosić wcale spektakularne sukcesy. Zdobyl wyróżnienie na prestiżowym ogólnopolskim konkursie na sztukę orga-

nizowanym przez warszawskie Ate-neum za dramat „Foks”, przygotowywał scenariusze filmowe, napisał powieść, która uzyskała bardzo dobre recenzje wewnętrzne w wydawnictwie „Czytelnik”, choć nie wiem, z jakich względów nie została wydana – podobnie zresztą żadna za sztuk Sośnickiego nie została wystawiona. Nie wiem, czy to szczególny pech autora, czy też rażąca w tamtym okresie niesprawność instytucji i w ogóle marazm w życiu kulturalnym wpłynęły na tę aporię debiutancką – ale przecież był to czas po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, kiedy generalnie mniej się myślało o indywidualnych sukcesach i karierach, więc i pisarstwie, a więcej o wspólnym zbiorowym obowiązku, jakim stawało się nagłące zadanie odzyskania ojczyzny. Dochodziły mnie w tamtych i późniejszych latach przypadkowe wieści o aktywności Sośnickiego w środowiskach Solidarności, potem o jego internowaniu, działalności w podziemnej Solidarności, wreszcie zajęciu fotelu posła w sejmie wolnej już Polski; jak pisze w nocy o autorze książki inny pisarz rozpoczynający niegdyś swą drogę literacką w Świdnicy, Tomek Tryzna: *W nowych czasach był redaktorem, i wydawcą, graczem na giełdzie, posłem w sejmie, prezesem, organizatorem międzynarodowych festiwali szachowych. W tych wszystkich rolach*

*zniknął pisarz, by powrócić po latach ze „Wzgórzem Pana Boga”.*

Jak czytam w zamieszczonych na obwolucie opiniach o tej książce i jak sam ją odbieram, stanowi ona może nie tyle powrót Sośnickiego do jego wczesnych zajęć estetycznych, czysto literackich, ile jego nowe w życiu doświadczenie i otwarcie – które mogło się objawić na wiele różnych sposobów, ale obrało drogę artystycznej sublimacji. Jest to otwarcie się na Boga i do Boga, spowodowane fundamentalnym życiowym traumatycznym przeżyciem i zarazem efektem swoistej katharsis. *To historia człowieka, który nie mogąc pogodzić się ze śmiercią ukochanego syna trafia w objęcia Kościoła, w optymistyczną baśń katolicyzmu – pisze dalej Tryzna, a ja nie bardzo mogę pogodzić się z optymistycznym wnioskiem komentatora, bo przecież chodzi tu o coś nieporównanie więcej i głębiej niż o znalezienie ukojenia w baśni; tak rozumiany katolicyzm byłby po prostu zwykłym antidotum, nagrodą pocieszenia za doznane przykrości bytowe i konkurencyjną „niszą” bytową w stosunku np. do „baśni” giełdy papierów wartościowych czy „zabawy” zawodów szachowych. Z pewnością bliższy odczytania intencji autora i jego zamiślu literackiego, lokowanego w mniej oczywistej strefie literatury, jest Jacek Bolewski SJ, który pisze: *Książka**

*Mirosława Sośnickiego jest żywym, przejmującym świadectwem Bożego nawiedzenia. Rozpoczyna się nieszczęściem, upadkiem z wysokości [syn bohatera-narratora powieści spada z dachu wieżowca, co jest prawdopodobną, choć nie do końca wyjaśnioną próbą samobójstwa, bo temuż Michałowi w życiu i szkole dobrze się wiodło – przyp. M.O.], kończy na wzgórzu, miejscu szczęścia, do którego doprowadziła długa droga – nawrócenia. Dodajmy, że owo wzgórze to swoisty sakralny azyl narratora; tu buduje on – po przystaniu do świeckiego zakonu karmelitów bosych (kiedy nie rezygnuje przecież z obowiązków zawodowych i małżeńskich i nawet projektów rodzinnych, np. realizuje nie bez przeszkód zamiśl adopcji dwóch dziewczynek z domu dziecka) – swój nowy dom, do którego się przeniesie w finale powieści. Jest to powieść inspirowana przede wszystkim potrzebą duchową, odpowiadająca na zamówienie wewnętrzne zaniepokojonego swoim stanem i kondycją dookolnego świata „człowieka” – jak narrator postanawia nazwać i prowadzić przez kolejne epizody akcji bohatera, co nadaje jego przejściom wymiar uniwersalny; nieoczekiwana, niesprawiedliwa w ziemskim, potocznym rozumieniu śmierć syna (tu Izaak jakby sam podejmuje wyzwanie ofiary, dając ojcu szansę przejrzania na oczy, prze-*